

„Rozmowy niosące ulgę”

Historia Agaty

Maja: Twoja droga do macierzyństwa nie była jedną z tych łatwych i radosnych. Jak się zatem zaczęła?

Agata: Z początku postanowiliśmy, że nie będziemy mieć dzieci. Byliśmy z mężem co do tego zgodni. Jednak z biegiem czasu perspektywa zaczęła się zmieniać. Oboje pochodzimy z dużych rodzin - mój mąż ma sześcioro rodzeństwa, natomiast ja - czwórkę. Od momentu podjęcia decyzji o tym, że planujemy zostać rodzicami, do zajścia w pierwszą ciążę - minęło pół roku. Ten, wydawało nam się - długi czas, był dla nas pierwszym sygnałem, że może być coś nie tak. Planowaliśmy się przebadać, jednak lekarz był wtedy zdania, że okres starań może tyle trwać. Mniej więcej po upływie sześciu miesięcy zaszłam w pierwszą ciążę. Była to dla nas ogromna radość - od razu wszystkim powiedzieliśmy. Jednak około ósmego tygodnia obudził mnie ból brzucha. Natychmiast pojechaliśmy do szpitala. Tam okazało się, że byłam podczas poronienia. Już nic nie dało się zrobić.

Maja: Domyślam się, że oprócz bólu fizycznego mogłaś odczuwać również ten emocjonalny. Jakie emocje ci towarzyszyły?

Agata: Początkowo niedowierzenie. Zaczęłam zastanawiać się - dlaczego my? Dlaczego nas to spotkało? Później szukałam winy w sobie. Przez cały okres trwania tej ciąży nie dałam sobie wytchnienia - cały czas pracowałam. Byłam na pełnych obrotach. Po pewnym czasie poczucie winy zmalało, chociaż moment całkowitej akceptacji był jeszcze daleko przede mną. Kiedy doszłam do siebie, postanowiliśmy, że próbujemy dalej. Zaszłam w drugą ciążę, jednak ona też nie trwała zbyt długo. Pamiętam, że zrobiłam badanie krwi określające poziom stężenia hormonu beta HCG. Było podwyższone do trzydziestu. Zdażyłam się jedynie umówić do lekarza i tego samego dnia zaczęło się krwawienie. Znowu poroniłam. Kiedy poszłam na wizytę - już wszystko było oczyszczone. Lekarz nie mógł wtedy nawet jednoznacznie stwierdzić, czy ja w tej ciąży faktycznie byłam czy też nie. Jedynym potwierdzeniem był wynik testu beta HCG. Wtedy z mężem zdecydowaliśmy się na przerwę. Musiałam dojść do siebie. Po tym razem - dłuższym - czasie ponownie zaczęliśmy się starać. Kolejny raz zaszłam w ciążę. Jednak z taką różnicą, że tym razem ciąża przebiegała prawidłowo. Urodziłam syna. I nie wiem - czy mam dalej opowiadać? Czy mam pominąć fakt, że syn urodził się chory?

Maja: Opowiadaj tak, jak czujesz. Jeśli masz ochotę się tym podzielić, to oczywiście, tak. Jeśli nie chcesz - nie musisz.

Agata: Ciąża przebiegała prawidłowo. Mimo to, odczuwałam strach. Żyłam od wizyty do wizyty. Codziennie towarzyszyła mi niepewność. Wizyty i badania wykazywały, że wszystko jest w normie. Że już nic złego się nam nie może przytrafić. Że tym razem wszystko będzie w porządku. Towarzyszyła mi gonitwa myśli i nadziei. Termin był na maj. W marcu pandemia rozpoczęła się na dobre. Wprowadzono wiele obostrzeń, ograniczeń. Z tego powodu w szpitalu byłam sama, mąż nie mógł mnie odwiedzać. Planowaliśmy to inaczej - chcieliśmy przy porodzie być razem. Miałam cesarkę. Kolejne osiem godzin musiałam leżeć, niemal bez ruchu. Po czterech godzinach od porodu okazało się, że syn ma bardzo złe wyniki. Urodził się z odmą opłucną. Miał dosyć mocno nasiloną żółtaczkę - był nasświetlany na dwie lampy. Jego parametry życiowe bardzo się obniżyły i trafił na OIOM noworodkowy. Pamiętam tylko, że leżałam jeszcze nie do końca świadoma rzeczywistości i przychodzili do mnie lekarze, którzy wymagali podpisywania różnych zgód na badania. Przyszła do mnie pani ordynator mówiąc, że stan mojego dziecka jest krytyczny. Wtedy nie do końca to do mnie docierało, jednak nie miałam złudzeń - mój syn jest chory. Dosyć długo leżeliśmy w szpitalu - dwa tygodnie. Pobyt w domu trwał krótko, tylko dwa dni i znowu trafiliśmy - tym razem do innego szpitala - na oddział onkohematologii. Diagnozowanie syna trwało prawie 10 miesięcy. Okazało się, że choruje na bardzo rzadką chorobę, znaną lekarzom dopiero od niedawna - Anemię Hemolityczną. Niedokrwistość hemolityczna to zaburzenie, w którym erytropoeza nie wyrównuje strat krwinek czerwonych, do której dochodzi na skutek różnych procesów destrukcyjnych. Niszczenie krwinek czerwonych następuje w szybszym tempie niż uwalnianie nowych ze szpiku. Jedyną do tej pory znaną metodą leczenia jest przetaczanie krwi. Nasze życie zostało wywrócone do góry nogami i toczyło się pomiędzy domem a szpitalem. Jak już wspominałam - diagnozowanie trwało 10 miesięcy. Chociaż, prawdę mówiąc, diagnoza niewiele zmieniła, bo przecież lekarstwa na tę chorobę nie istnieją.

Maja: A czy oprócz syna macie jeszcze inne dzieci? Czy później byłaś w ciąży?

Agata: W 2020 urodziłam mojego najstarszego syna, o którym opowiedziałam. Przez zamieszanie spowodowane jego chorobą, pobytami w szpitalu, leczeniem i tak dalej, wcale nie myśleliśmy z mężem o tym, żeby sprowadzić na świat kolejne dziecko. Nie było na to przestrzeni. Świadomie bym się chyba wtedy nie zdecydowała. Jednak następna ciąża przytrafiła się sama. Starszy syn miał 10 miesięcy, więc akurat mniej więcej w tamtym czasie poznaliśmy jego diagnozę. Kilka dni później dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Pierwsze badania wskazywały na to, że wszystko jest w porządku. Kolejne tak samo. Jednak ja bardzo źle się czułam. Chociaż kiedy teraz o tym myślę przypominam sobie, że przez pierwsze 3 miesiące każdej ciąży czułam się okropnie. To był koszmar. Pamiętam, że poszłam do lekarza w dwunastym tygodniu. Leżałam na łóżku, lekarka robiła USG. Nie musiała nic mówić. Jej mimika wszystko zdradziła. Diagnoza - ciąża jest obumarła, już nie ma tętna, nie ma serduszka, serduszko nie bije. Kolejny tydzień był trudny. Musiałam czekać, aż mój organizm się oczyści. Mogłam od razu zgłosić się do szpitala, ale lekarka poradziła, żeby stało się to naturalnie.

Więc czekałam, ale nic się nie wydarzyło. Pamiętam, że pakowałam się do szpitala w dniu matki. To było dla mnie bardzo trudne. Wykonano zabieg łyżeczkowania macicy, po którym wróciłam do domu. Wtedy wydarzyła się tragedia mojego brata, która nie pozwoliła mi się załamać. Miał poważny wypadek, złamał obie nogi. Jeździł na wózku. Zamieszkał razem z nami, żebyśmy mogli mu pomagać w codziennym funkcjonowaniu. Może się to wydawać paradoksalne, ale gdyby nie on, to ten czas byłby dla mnie jeszcze trudniejszy. Natomiast w zaistniałej sytuacji wiedziałam, że muszę rano wstać, ogarnąć syna, zająć się bratem. Teraz potrzebowali mnie obaj, a to nie pozwalało mi się załamać.

Maja: Czyli sytuacja Twojego brata podtrzymywała Cię w trybie działania.

Agata: Tak, zdarzało się nawet, że w ciągu dnia zapominałam o własnym bólu. Gorsze były wieczory, kiedy syn szedł spać - wtedy wszystko wracało. Zdarzyło się też, że oglądaliśmy filmy, w których przewijał się wątek poronienia, utraty ciąży, czegokolwiek z tym związanego. Jakoś się pozbierałam, oboje się pozbieraliśmy - ponownie. Stwierdziliśmy z mężem, że nie ma co się poddawać, walczymy dalej. Po tym zabiegu musieliśmy odczekać trzy miesiące zanim zaczęliśmy ponownie się starać. Wskazany czas upłynął, a kolejny test okazał się być pozytywnym. Początkowo było w porządku, ale szybko dowiedzieliśmy się, że ciąża jest obumarła. Tym razem lekarka płakała razem ze mną. Ponownie trafiłam do szpitala. Kolejny zabieg łyżeczkowania, ponieważ mój organizm nie oczyścił się sam. Kiedy wróciłam do domu było zupełnie inaczej niż po pierwszym zabiegu. Znałam już ten stan - wiedziałam, że po prostu muszę się pozbierać, znowu dać sobie czas. Wiesz, ja mam taki charakter, że się nie poddaje - jak nie drzwiami, to wejdem oknem. Dlatego po upływie pewnego czasu powróciliśmy do starania się o dziecko. Dużą motywacją było to, żeby syn nie był sam. Kiedy tym razem test wyszedł pozytywny już nie wzbudził we mnie pozytywnych emocji. Mojemu mężowi też nie towarzyszyła radość. Niestety okazało się, że była to ciąża biochemiczna. Stężenie beta HCG w ogóle nie rosło. Musiałam zgłosić się do szpitala, ale na miejscu mój organizm zaczął się samoistnie oczyszczać - obyło się bez zabiegu. Minął dłuższy czas zanim zdecydowaliśmy się spróbować raz jeszcze. W kwietniu ubiegłego roku zobaczyłam dwie kreski na teście. Pamiętam nadzieję, że może tym razem się uda. Liczyłam, że może ktoś tam na górze pozwoli, by nareszcie się udało. Ale tak się nie stało. Okazało się, że znowu byłam w ciąży biochemicznej. Dostałam skierowanie do szpitala. Pierwsza badająca mnie lekarka wyraziła - delikatnie rzecz ujmując - zaniepokojenie. Postanowiła prosić o wykonanie USG przez jeszcze jednego specjalistę, by potwierdzić obawy. Obumarła ciąża okazała się być również ciążą pozamaciczną. To było już dla mnie zbyt wiele. Domyślałam się, że moje szanse na zajście w kolejną ciążę będą znacznie zmniejszone. Do tej pory było trudno - więc jak poradzę sobie po wycięciu jajowodu? Załamałam się całkowicie. Poza tym, miałam pretensje do lekarza, który badał mnie dobie przed moim przybyciem do szpitala. On mnie na to nie przygotował, nie dość, że nie poinformował mnie o stanie, w którym

się znalazłam - nie dał nawet nic po sobie poznać. Zabieg laparoskopii został zaplanowany dokładnie na dzień urodzin starszego syna. Ostatecznie nie odbył się, ponieważ urządzenie było jedno, a oddziałów kilkanaście. Laparoskop był w tamtym momencie potrzebny do ratowania życia, a nie jak w moim przypadku - zdrowia. Dlatego wbrew pierwotnym założeniom zabieg miał się odbyć nie w czwartek, a w sobotę. Przypomnę, że to były urodziny mojego dziecka, więc wypisałam się na własne żądanie, za zgodą ordynatora. Miałam zgłosić się do szpitala w piątek wieczorem lub w sobotę rano. Możliwość świętowania razem, w domu, była dla mnie ogromnym szczęściem. Jednak po zabiegu, choć przebiegł pomyślnie, pogodziliśmy się z mężem z myślą, że nasza rodzina się nie powiększy. Lekarze przekonywali, że mam szansę, że z jednym jajowodem nadal wszystko jest możliwe. Natomiast w mojej głowie układało się to tak, że nie dość, że do tej pory trudno było mi zająć w ciążę, to jeszcze trudniej było ją utrzymać. Jak teraz miałby przebiegać cały proces, kiedy mam jeden jajowód? Całkowicie wyzbyliśmy się oczekiwań. Nie odliczaliśmy dni, nie czekaliśmy. W kolejną ciążę zaszłam we wrześniu. Rozwijała się prawidłowo. Odbywało się akurat wesele osoby z naszej rodziny, świętowaliśmy i czułam się dobrze, ale bezpośrednio po weekendzie - w poniedziałek - zaczęłam krwawić. Wydarzyło się tak już wiele razy wcześniej, więc jadąc do szpitala byłam przygotowana na zderzenie z informacją o tym, że straciłam ciążę. W tamtej chwili byłam pewna, że to koniec. Jednak tym razem krwawienie ustąpiło - mogłam wrócić do domu. Główne zalecenie: oszczędzać się jak tylko zdołam. Dołożyć starań żeby donosić tę ciążę - przetrwać, razem. Miesiące mijały w napięciu - od wizyty do wizyty. Kryzys nastąpił dopiero w lutym, kiedy strasznie rozboleł mnie brzuch. Trafiłam do szpitala, gdzie dowiedziałam się, że zagraża mi przedwczesny poród. Dostawałam lekarstwa, byłam kilka dni pod obserwacją, aż zostałam wypuszczona do domu. Chociaż przewidywany termin porodu wyznaczony był na 20 maja - pod koniec marca odeszły mi wody. Akurat wróciłam z mężem i synem z dni otwartych w przedszkolu. To było za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie. W szpitalu zaczęło się krwawienie, więc wizja operacji stawała się coraz bliższa. Zdażyłam nawet dopełnić formalności przed porodem. Jedną nogą byłam na stole operacyjnym, kiedy badania wykazały, że ciąża się stabilizuje. Zostałam w szpitalu i leżałam, a po śniadaniu musiałam liczyć ruchy dziecka. Najgorszym wspomnieniem z tamtego okresu jest to, kiedy po jedzeniu nie wyczułam ruchów. USG wskazywało, że wszystko jest w porządku, poza brakiem ruchów. Kardiotokografia była niepokojąca - przez okrągłą godzinę urządzenie wskazywało jedną, ciąglą, niekończącą się linię. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom - przez ostatnie trzy doby leżałam pod kroplówką, byle tylko "donosić" tę ciążę. Jak się później okazało - moje lęki po prostu osłabiły małego - spowodowały, że cały czas spał, dlatego się nie poruszał. Te wnioski wyciągnięto po badaniu dokładniejszym KTG. Poczułam ulgę. Tęskniłam za synem, więc kiedy stan mojego zdrowia się ustabilizował wróciłam do domu, chociaż lekarze zalecali mi pozostanie w szpitalu do wskazywanej daty porodu. Niestety, powrotem do domu nie mogłam cieszyć się długo, ponieważ zachorowałam. Antybiotykoterapia w tak zaawansowanym etapie ciąży musiała odbywać się w

szpitalu. Urodziłam drugiego syna 10 maja - przez cesarskie cięcie. Przez cały czas ciąży liczyłam się z tym, że dziecko może być chore. Prawdopodobieństwo wystąpienia tej samej choroby, co u pierwszego, było wysokie. Tym razem los się do mnie uśmiechnął. Syn okazał się być zdrowy! Czulałam jakbym dostała skrzydeł. Osoby, które spotykałam nie wierzyły, że urodziłam zaledwie dzień wcześniej. Szczęście mnie uskrzydliło.

Maja: A jak wspominasz przebywanie w szpitalach? Myślę też o sytuacji, kiedy odwołany został Twój zabieg laparoskopii. Odbył się w sobotę zamiast czwartku, bo ratowane było życie.

Agata: Nie byłam zadowolona - chciałam mieć zabieg za sobą, ale nie miałam na to żadnego wpływu. Musiałam się z tym pogodzić. Nie miałam wyjścia. Kto wie - może tak miało być? Może miałam wrócić do swojego starszego syna, żeby świętować z nim urodziny. Natomiast pobyty w szpitalach i personel wspominam bardzo ciepło. Spotkałam się z życzliwością i empatią. Kiedy trafiałam tam ponownie słyszałam "Boże, Pani znowu tutaj", a w głosach słysząc było szczere współczucie.

Maja: Co pomagało Ci przetrwać trudne okresy po poronieniach? Wspominałaś o swoim harcie ducha. Czy miałaś poza nim - wsparcie w bliskich osobach?

Agata: To u mnie kwestia charakterologiczna. Stawiam na swoim i walczę. Dlatego kiedy zaplanowaliśmy powiększenie rodziny - nie mogłam się poddać. Zarówno ja jak i mój mąż dorastaliśmy otoczeni rodzeństwem. Nie chcieliśmy pozbawiać tego doświadczenia naszego pierwszego syna. Okresy stawania na nogi były raz krótsze, innym razem - dłuższe, ale nieprzerwanie miałam wsparcie w mężu. No i ogromne ilości energii dawał mi syn. Dla niego zawsze chciało mi się wstawać z łóżka. Czytałam też fora, dołączyłam do grup wsparcia i poznając historie innych kobiet bywało, że myślałam o swoich doświadczeniach jak o niemal błahych. Poznałam dziewczynę, która poroniła piętnaście razy, inna starała się o dziecko kilkanaście lat, a w ciążę zaszła dopiero w wieku 44 lat.

Maja: A jak otoczenie reagowało na Twoje straty? Czy czułaś się rozumiana?

Agata: Wiesz, nikt poza moim mężem i rodzicami, z którymi mieszkamy, o nich nie wiedział. Dopiero gdy byłam w ciąży pozamaciej dowiedział się mój szwagier. Potrzebowałam pomocy, bo bardzo bolał mnie brzuch i to on po mnie przyjechał. Poza najbliższymi, o tym, z czym się zmagam, nie wiedział nikt. Długo nie chciałam z nikim dzielić się swoimi doświadczeniami. Do zmiany zdania zainspirowała mnie jedna z położnych. Usłyszałam od niej, że może opowiadając swoją historię pomogę chociaż jednej kobiecie się nie poddać. Ta myśl zaczęła kiełkować w mojej głowie. Chciałam

dać komuś trochę swojej siły. Jeśli uda mi się choć raz pomóc odzyskać wiarę - to będzie dla mnie prawdziwy sukces.

Maja: Mówiłaś też o okresie po urodzeniu pierwszego syna. O tym, jak jego obecność wpłynęła na przeżywanie strat. Jakie przebiegały Twoje żaloby?

Agata: Pierwsze dni były trudne, za każdym razem. Emocje brały górę. Ale tylko wtedy, kiedy nie byłam przy synu. Przy nim nie mogłam się załamać. Byłam silna dla niego i dzięki wsparciu męża. Wiele razy chciałam się poddać, właściwie - każdorazowo po wyjściu ze szpitala. Wtedy właśnie mój mąż potrafił przekonać mnie do tego, że nie warto się poddawać. Finał naszej historii jest dobry - mamy dwójkę wspaniałych dzieci. Ale już więcej mieć nie będziemy [uśmiech]. Koniec prokreacji. Daruję sobie dziewiątą ciążę.

Maja: Rozumiem Cię. A czy doświadczenia z drogi ku macierzyństwu wywarły stały wpływ na Twój charakter, Twoje życie? Jeśli tak - to jakie?

Agata: Zawsze byłam silna, a ostatnie lata uczyniły mnie nawet silniejszą. Jestem wdzięczna za osoby, które spotkałam. I przede wszystkim - za mojego męża. Doświadczenia umocniły nasz związek, scementowały go. Zbliżyliśmy się do siebie, a ja nie mam cienia wątpliwości co do bezwarunkowego wsparcia i opieki, jakimi mnie otacza.

Maja: Słuchając Ciebie mam ochotę zapytać jeszcze - skąd w Tobie ten niezwykły hart ducha?

Agata: Wykształciłam go w dzieciństwie. W dorosłości musiałam stale go rozwijać, ale nie chciałabym teraz o tym mówić. Tak po prostu jest. Wszystko, co robię - robię na 100%, a jeśli się nie udaje - to robię tak, żeby się udało.

Maja: Mówiłaś, że w dzieleniu się doświadczeniami dostrzegasz szansę wsparcia kobiet w podobnych sytuacjach, których drogi do macierzyństwa są kręte i strome. Czy masz jakieś wskazówki - jak pokonać przeciwności?

Agata: Z całą pewnością słuchać siebie, swoich potrzeb. Jeżeli potrzebą jest rozmowa - rozmawiać, jeżeli, jak w moim przypadku, nie - to nie. Utraty ciąży są bolesne, ale nie są powodem do wstydu. Szukanie winy w sobie jest zbędne - nie ratuje sytuacji, a może wyrządzić jeszcze większą krzywdę, złamanemu po stracie ciąży - sercu. Warto walczyć. Dla mnie trzymanie małego w rękach rekompensuje trudną przeszłość. Czasami wspomnienia wracają, ale z czasem boli mniej. Nie sposób zapomnieć, ale rany się zablizniają.

Maja: Właśnie o to planowałam spytać - czy upływ czasu pomógł Ci zagoić rany?

Agata: Zdecydowanie tak. Chociaż nie zapominam. Zawsze, zapytana ile mam dzieci, w myślach odpowiadam, że mam sześć aniołków i dwóch synów. To scenariusz w moich myślach, a na głos mówię, że mam dwóch synów. Na cmentarzu odwiedzamy groby trójki naszych dzieci. Mamy taką możliwość, więc zapalamy co jakiś czas znicze u naszych aniołków. Reszty dzieci nie mieliśmy możliwości pochować.

Maja: Myślę, że ta symbolika jest bardzo ważna. Pozwala nadać osobistego wymiaru.

Agata: Dokładnie.

Maja: Mówiłaś, że wspomnienia wszystkich Twoich dzieci pozostaną z Tobą.

Agata: Tak, tego nie można wymazać. Kiedyś pewnie opowiem tę historię synom, jak dorosną. Zobaczymy.

Maja: Myślę, że rozmowa o Twoich doświadczeniach wymaga bardzo dużej dojrzałości.

Agata: Tak. Natomiast teraz zmagamy się z innym trudnym tematem. Chodzi o zazdrość między naszymi dziećmi. Nie przygotowaliśmy starszego syna do posiadania rodzeństwa. Ze względu na niepewność, która nam towarzyszyła - kiedy pytał o mój ciążowy brzuszeczek - nie wyjaśniałam, że będzie miał braciszka. Poza tym moja seria pobytów w szpitalu, on nie wiedział dlaczego, był zdezorientowany. Napięcie trwa od ośmiu miesięcy. Starszy syn nadal nie potrafi pogodzić się z koniecznością dzielenia naszej, obojga rodziców, uwagi na ich dwójkę. Od psychologa wiemy, że to nie było dobrym posunięciem. Mną kierował lęk przed kolejnym niepowodzeniem i pytania syna o rodzeństwo, które miało być, a jednak go nie ma. Tego tematu bym chyba nie udźwignęła. Niestety - wyszło jak wyszło, ale teraz pracujemy nad tym, żeby nasi synowie się troszkę polubili [uśmiech].

Maja: Jasne, trzymam za to mocno kciuki. Czy jest coś jeszcze o Twojej drodze do macierzyństwa, czym chciałabyś się podzielić?

Agata: Chcę na pewno życzyć wszystkim kobietom, które pragną zostać mamami - żeby im się udało. Żeby walczyły, żeby nie traciły nadziei.

Maja: Myślę, że Twoja historia i te słowa mogą dać otuchę osobom mierzącym się z podobnymi trudnościami do Twoich. Dziękuję za rozmowę i dziękuję za te słowa.

Agata: Ja też dziękuję.

Wywiad przeprowadziła **Maja Majerowicz - psycholog**

Korekta i redakcja - **Julia Młynarczyk**